

Szkocja i Anglia

Grzegorz Krajewski i Remigiusz Kitliński



Galloway Forest Park, Szkocja | fot.: G. Krajewski



Szutrowa przeprawa szlakiem Southern Upland Way w Galloway Forest Park w południowej Szkocji; fot.: R. Kitliński

Szkocja owszem, ale Anglia?

Był taki okres w całkiem nieodległej historii naszego kraju, kiedy to całkiem liczne rzesze rodaków wyjeżdżały na tzw. Wyspy. Można by się zastanawiać, cóż magicznego i niezwykle ciągnie ludzi w tą stronę. Czy Wyspy to jedynie dobrze płatne miejsce pracy, czy może jednak coś więcej? Postanowiliśmy sprawdzić tą drugą opcję. Muszę jednak przyznać, że pomysł wyjazdu do Anglii rodził się z dużym trudem. Opór ten wynikał po części z niewiedzy. Pojęcie "Anglia" początkowo nie rodziło w nas żadnych skojarzeń o charakterze podróżniczo-krajobrazowym. Szkocja owszem. Wszyscy wszakże znamy tamtejsze góry malowane wszelkimi odcieniami zieleni i stare zamki owiane nutą tajemnicy. Ale Anglia – byliśmy pełni obaw. Tymczasem kompromisowe rozwiązanie znalazło się za sprawą linii lotniczych WizzAir, które zawiozły nas do Szkocji, a odebrały z Anglii. Na naszym rajdzie było więc i trochę Szkocji i trochę Anglii.

Wybór trasy okazał się idealny. W sam raz na krótki, dziesięciodniowy wypad. Wygodne połączenia lotnicze sprawiły, że tanio i bez zbędnej straty czasu dotarliśmy na miejsce startu, do Glasgow. Zamierzaliśmy odwiedzić jedno z najbardziej malowniczych zakątków Wielkiej Brytanii: szkockie Lowlands z parkiem krajobrazowym Galloway oraz angielskie parki narodowe Lake District i Yorkshire Dales. Eskapada była nietypowa z uwagi na pominięcie, głównie z braku czasu, słynne szkockie Highlands i skierowanie się na mało poznane przez polskich turystów wzgórza północnej Anglii. Początkowo obawialiśmy się, że będzie to daleko idący kompromis, jednak jak się okazało, absolutnie nie było czego żałować. Wystartowaliśmy z Gdańska późnym wieczorem i po nieco ponad dwóch godzinach lotu wylądowaliśmy w Glasgow-Prestwick. Dzięki kompetencji przewoźnika WizzAir, transport rowerów, zapakowanych w specjalne torby, odbył się sprawnie i bez przykrych niespodzianek. Złożenie sprzętu i

ekwipunku zajęło blisko godzinę i tuż po zapadnięciu zmroku mogliśmy opuścić teren lotniska, obierając nocleg na nadmorskiej wydmie. Następnego dnia, w promieniach wschodzącego słońca zwinęliśmy namiot i ruszyliśmy na południe, wzdłuż wybrzeża. Jak się później okazało, kolejne cztery dni były wyjątkowo ciepłe i słoneczne. Nietypowo jak na szkockie warunki, słynące z mokrej i wietrznej pogody. Co więcej, wiatr na ogół nam pomagał. Nieprzypadkowo Grzegorz ułożył trasę tak, aby jechać z północnego zachodu na południowy wschód. Właśnie tak, jak przeważnie wieją tu wiatry. Pierwszych trzydzieści kilometrów, które pokonaliśmy wzdłuż wybrzeża po szosie z gładkim asfaltem utwierdziło nas w przekonaniu, że ze stanem nawierzchni dróg nie będzie żadnych problemów. Dużo koncentracji wymagało jednak przyzwyczajenie się do lewostronnego ruchu ulicznego. Mijające nas z prawej strony samochody wzbudzały odruchowo spory niepokój, nie mówiąc już

o tym, że ruch na rondach odbywał się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Pierwsze krajobrazy i atrakcje były zgodne z oczekiwaniami. Zwiedziliśmy ruiny niewielkiego zamku Dunure Castle, malowniczo usytuowane wśród ostrych skał wystających z rozbujanego Atlantyku oraz okazały Culzean Castle stojący wprost na stromym, nadmorskim urwisku. W prawdziwy zachwyt wprowadził nas jednak kolejny etap naszej podróży.



Galloway Forest Park, Szkocja; fot.: R. Kitliński

Galloway Forest Park

Porzuciliśmy wybrzeże i wjechaliśmy w głąb lądu, w stronę Wyżyny Południowoszkockiej. Naszym oczom ukazała się kraina łagodnych wzgórz, gęstych lasów, rozległych pastwisk i tajemniczych wrzosowisk. Położony w jej zachodniej części Galloway Forest Park skupia to, co najlepsze w tej mieszance.



Galloway Forest Park, Szkocja; fot.: G. Krajewski

Bardzo niska gęstość zaludnienia i słaba penetracja turystyczna sprzyjają długim, samotnym wyprawom. Będąc w samym sercu Wielkiej Brytanii, możemy przez wiele godzin nie spotkać żywej duszy na swoim szlaku. Krajobraz nie jest wprawdzie tak majestatyczny, jak w Highlands - słynniejszej, północnej części Szkocji, ale urodą niewiele mu ustępuje, a klimat jest jakby mniej kapryśny. Wąskie asfaltowe lub szutrowe drogi, z minimalnym ruchem kołowym i niewysokimi przewyższeniami, są wręcz idealne na dwukołowe wycieczki. Rozglądając się za miejscem na nocleg, odkryliśmy, zaszyte w leśnej gęstwinie, jezioro Loch Moan. Jezioro to było całkiem spore, z kilkoma zatoczkami, półwyspami i wyspami. Co najważniejsze, wszystkie drogi dojazdowe przegrodzono szlabanami,

odcinając to miejsce od turystów zmotoryzowanych. Niestety efektem daleko posuniętej dzikości linii brzegowej był zupełny brak płaskiego podłoża pod namiot. Całość porastały drobne drzewka i trawy zbite w twarde kępy. Tym samym, pod względem wygody spania, nocleg nie należał do najlepszych. Spokój, wysokie poczucie bezpieczeństwa i przede wszystkim

wieczorna kąpiel w jeziorze były jednak wystarczającymi argumentami, by nas tu zatrzymać. Tutaj też spotkaliśmy się z największym na rajdzie atakiem meszek, słynnych szkockich midges. Trzeba przyznać, że te małe potworki w pełni zasługują na swą złą sławę i nawet osobom odpornym na ugryzienia ciężko było wysiedzieć przed namiotem.

Nazajutrz, chcąc przejechać rowerami przez najciekawsze części parku Galloway, zdecydowaliśmy się, na niepozornie wyglądającą na mapie, szutrową przeprawę wzdłuż tzw. Southern Upland Way. Jak się wkrótce okazało

droga ta była w równym stopniu ciekawa przyrodniczo i krajobrazowo, jak wymagająca dla rowerzystów z pełnym ekwipunkiem obozowym. Nie żałowaliśmy jednak zjazdu z wygodnego asfaltu. Z każdym kilometrem tej trasy otwierały się naszym oczom coraz piękniejsze widoki. W blasku pełnego słońca, zieleń wzgórz Galloway przybierała dziesiątki oryginalnych odcieni, od ciemnych, zgniłzielonych, przez intensywne, szmaragdowe, po jasne, mieniące się żółcią i turkusem. Całości malowniczego krajobrazu dopełniało błękitne niebo z białymi obłokami, dość zwawo przemieszczającymi się za horyzont. Dla nas, czyli zapalonych fotografów, był to wyjątkowo owocny dzień.



Wąskie asfaltowe drogi są wręcz idealne na rowerowe wycieczki, Galloway Forest Park, Szkocja; fot.: R. Kitliński

Po opuszczeniu dziewiczych wzgórz Galloway skierowaliśmy się do ruin niewielkiego zamku Threave znajdującego się nieopodal miasta Castle Douglas, w południowo-zachodniej Szkocji. Zamek wybudowano w połowie XIV wieku na małej wysepce na rzece Dee, w pobliżu granicy Szkocji z Anglią. Do zamku można było dostać się jedynie łodzią, co nie zmieniło się do dziś. Tego dnia nocleg wypadł nam w przepięknej scenerii, na krawędzi skalistego klifu, opodal miejscowości Rockcliffe. Z wysuniętego w głąb morza wzgórza Castle Point rozciągał się doskonały widok na pionowe skalne ściany opadające wprost do wody. Pobliska zatoka okazała się wręcz szkolnym przykładem obrazującym działanie przyływów i odpływów. Wieczorem pełna

wody, rano – jedynie wielokilometrowa łąka piachu.

Ostatnim szkockim zamkiem na naszej trasie był Caerlaverock Castle. Średniowieczna warownia, położona nieopodal miasta Dumfries, odegrała znaczącą rolę w walkach między katolikami i protestantami w XVII wieku, po czym popadła w ruinę. Niepospolitość tej budowli wynika z jej niecodziennego kształtu – zamek zbudowano na planie trójkąta, otaczając trójkątną fosą.

Kilkanaście kilometrów dalej, na samotnie stojącym budynku ujrzeliśmy wielki napis: The last house in Scotland. Zaraz potem przy drodze stała tablica informująca, że oto wkraczamy do Anglii. Rozpoczął się drugi etap naszej podróży.



Malownicze ruiny Threave Castle otoczone odnogami rzeki Dee w południowej Szkocji; fot.: G. Krajewski



Pierwsze wzgórza Lake District National Park w Anglii; fot.: G. Krajewski

Lake District National Park

Park Narodowy Lake District, zwany również The Lakes (jeziora) lub Lakeland (pojezierze) obejmuje znaczną część Gór Kumbryjskich. Są to najwyższe angielskie wzniesienia, pozornie niezbyt okazałe, bo nie osiągają nawet 1000 m.n.p.m. Jednak głęboko wcięte doliny (nawet do zaledwie kilkunastu metrów n.p.m.) warunkują duże różnice wysokości względnych, czyli takich, które mierzone są od podnóża do szczytu. W wielu miejscach rzeźba terenu Lake District nabiera charakteru tatrzańskiego, a urody dodają mu liczne jeziora polodowcowe.

Elementem charakterystycznym, ważnym dla miłośników rowerowych wycieczek, jest znaczna ilość wąskich, asfaltowych dróg, które czynią region łatwo dostępnym. Chociaż w przypadku rowerzystów, niektóre drogi na miano łatwo dostępnych nie do końca zasługują. Z nieukrywanym zdumieniem przekonaliśmy się na własnej skórze, że nachylenie wielu tutejszych podjazdów sięga 30%. Nie były to góry na miarę włoskiej Malga Palazzo, bo miejscowe przełęcze nie przekraczają 400 metrów wysokości, ale wjechać z sakwami i tak się nie dało. Dzieła zniszczenia dopełniał

wyjątkowo silny wiatr i popadający deszcz. Typowa angielska pogoda dała w końcu znać o sobie. Efektem ubocznym łatwej dostępności tych terenów była niestety spora ilość turystów zmotoryzowanych, lecz mimo tego zdecydowanie warto zmierzyć się z wyjątkowo ostrymi podjazdami w wyjątkowo pięknych okolicznościach przyrody.

Jak kapryśna może być angielska pogoda przekonaliśmy się ostatniego dnia pobytu w Lake District. Los chciał, że dzień ten wspominamy z zupełnie innej perspektywy.

Relacja Remigiusza:

„Po przejechaniu trasy wzdłuż jeziora Thirlmere szybko przeskoczyliśmy przez niewysoką przełęcz Dunmail Raise docierając do miasteczka Grasmere. Tam zapadła decyzja o rozdzieleniu się. Grzegorz zapragnął zażyć tym razem nieco cywilizacji. Postanowił sprawdzić, co w praktyce oznacza skrót B&B (ang. bed and breakfast). Tymczasem ja byłem przekonany o słuszności zorganizowania kolejnego noclegu pod krzakiem. Rozdzieliliśmy się zatem, a ja skręciłem w górę doliny z zamiarem zdobycia dwóch najbardziej stromych przełęczy w Anglii.

Przez szacunek dla siebie, Anglii i angielskich gór w szczególności, nie będę podawał wysokości owych przełęczy. Nadmienię jednak, że nachylenie drogi sięgało tam 30%, co w jakiś sposób uzasadnia użycie przeze mnie słowa "zdobywać" w kontekście tego przedsięwzięcia. Tuż po starcie złapał mnie deszcz, a że nie zanosiło się na rychłą poprawę pogody, założyłem swój najbardziej wypróbowany strój przeciwdeszczowy – chiński kaftan ogrodniczy. Zastosowana przez producenta membrana o grubości gumy w dętce rowerowej, od dawna budziła mój nieukrywany szacunek. Powiem więcej, gdy mój kaftan jest ze mną, żaden, za przeproszeniem outdoor mi nie straszny. Wcale się więc nie przejąłem, że do przybierającego na sile deszczu, dołączył wkrótce porywisty wiatr. Trochę bardziej odczułem fakt, że moja wąziutka droga z każdym metrem nabierała stromizny. To oznaczało, że niechybnie zbliżam się do miejsca uznawanego za najbardziej stromą drogę w Anglii. W moim zachowaniu nie było jednak ni krzty triumfalizmu. Na stromych kawałkach, ze sporym trudem, wyciągałem 4-5 km/h, by potem próbować odsapnąć na 10-procentowych „wypląszeniach”. Woda kapiała mi z nosa, wiatr zawiewał coraz mocniej, a wszystkie nie-chińskie elementy mojego stroju dawno

przemokły.

Straszenie mi to zmęczyło psychikę, że już nie wspomnę o nogach. Osoba postronna obserwująca moje zmagania mogła odnieść wrażenie, że toczę jakąś szaleńczą walkę z niewidzialnym wrogiem, który trzymając z tyłu za sakwy, okrutnie targa rowerem, by zepchnąć mnie na pobocze. Z czasem, dalsza jazda stała się bardziej kwestią honoru niż zdrowego

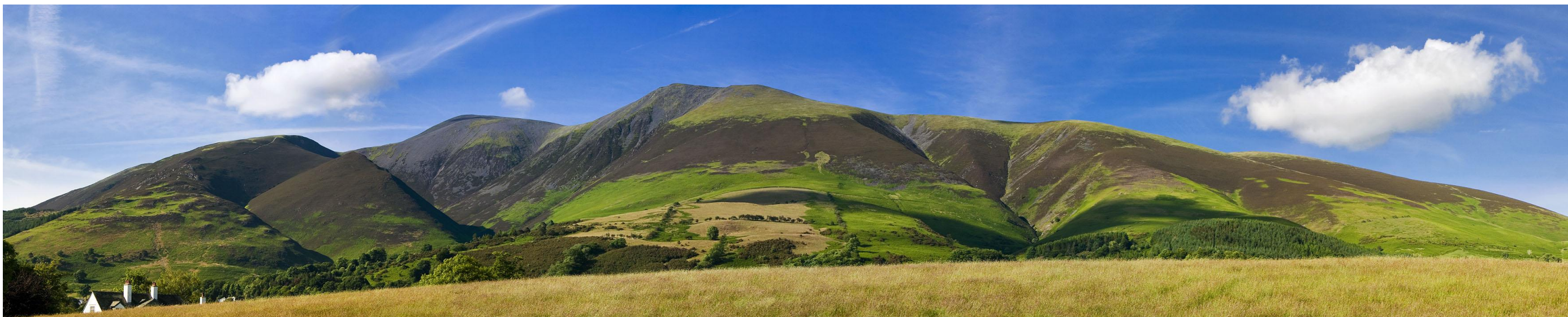
rozsądku. Później nawet i tego zabrakło. Upewniwszy się, że nikt mnie nie widzi, ostatnie dwa kilometry podjazdu, postanowiłem pokonać wykorzystując najbardziej prymitywną technikę przemieszczania... znaczy się pieszo. Deszcz cały czas spływał wieloma strużkami po chińskim kaftanie, następnie przesiąkał w spodnie, znajdując ostateczne ujście w moich butach. Wokół otaczało mnie zupełne pustkowie, ruch na drodze dawno



Droga na przełęcze Wrynose i Hardknott uchodzi za najbardziej stromą w Anglii; fot.: R. Kitliński



Za zakrętem kolejny stromy podjazd, Lake District National Park, Anglia; fot.: G. Krajewski



Szkockie i angielskie krajobrazy zaskakiwały oryginalną kolorystyką, okolice Keswick w Lake District National Park, Anglia; fot.: R. Kitliński

zamarł. Ostatni, zjeżdżający z przełęczy samochód zatrzymał się obok. Z uchylonego okna wyjrzała starsza pani, przybierając na mój widok szczerze zatroskany wyraz twarzy. Jej mąż próbował przemówić mi do rozsądku, informując, że na szczycie nie



Lake District National Park, Anglia; fot.: G. Krajewski

mogę spodziewać się żadnego schronienia. Gdy odparłem, że mam namiot, spojrzeli jak na ekstremistę i odjechali. Popatrzyłem za nimi z zazdrością, gdzieś tam w dolinie przebijało się chyba słońce i ruszyłem dalej pod górę. Przed samą przełęczą teren wyraźnie złagodniał. Deszcz zelżał, ale za to wielokrotnie wzrosła siła wiatru. Zupełnie straciłem ochotę na kontynuowanie tej wycieczki i postanowiłem rozbić namiot już tu. Uff... leżę już w namiocie i patrzę, jak jego mokre ściany, smagane ogromnymi podmuchami wiatru, raz po raz kładą się na mojej twarzy. Mam wrażenie, że wściekła wichura wgniecie w ziemię wiotką konstrukcję mego schronienia. Rozłożyłem się za niewielką skałą. Myślałem, że będzie tu w miarę spokojnie, ale nie jest. Z trudem znalazłem to miejsce. Wszędzie było pełno rozmoczonego owczego gówna. Tu zresztą też. A dodatkowo teren dosyć pochyły. Muszę teraz leżeć prawie bez ruchu, by nie zsunąć się z karimaty wprost do małego bajorka, które zebrało się w narożniku namiotu. Wystarczyło te kilka minut, gdy rozbijałem namiot podczas ulewy i jezioro gotowe. Podklinowałem się trochę sakwami. Może to wystarczy. Zupełnie nie wiem, czemu nie chce mi się wybrać tej wody. Jakoś straciłem ochotę do wszelkiego

działania. Ubrałem wszystkie zapasowe ciuchy, ale i tak nie jest mi zbyt ciepło. Puchowy śpiwór przesiąkł wilgocią. Nad głową wiszą mokre spodnie i skarpety. Tylko chiński kaftan ogrodniczy - pogromca wszelkich deszczy, zdał egzamin. Ciekawe co tymczasem porabia Grzegorz. Pewnie bierze ciepły prysznic w tym swoim Bed & Breakfast. Miał nosa, że akurat dzisiaj poszedł na kwaterę. A mi się zachciało zdobywać przełęcze. Ha, dobre, czy w ogóle można mówić o zdobywaniu przełęczy, która ma 400 metrów. Wyśmieją mnie po

powrocie. Zwłaszcza jak się pochwalę, że dwa kilometry prowadziłem rower. Kogoś w ogóle obchodzi, że było tam 30% stromizny. Głupie rekordy. No tak, dopiero siódma. Jak ja wytrzymam do rana? W takich warunkach, bez ruchu? No i dlaczego coraz bardziej uciska mnie pęcherz? Jak wyjdę, to deszcz w pięć sekund zmoczy mi ostatnie ciuchy. No tak, ale jak nie wyjdę, to pewnie sam te ciuchy zmoczę. O kurde, wyrwało śledzia w narożniku. Wychodzę... Oby tylko namiot nie odleciał..."



Pamiętny nocleg na Wrynose Pass miał jeden niepodważalny atut – piękny widok na dolinę Little Longdale.

Lake District National Park, Anglia; fot.: R. Kitliński

Relacja Grzegorza:

„Po przejechaniu trasy wzdłuż jeziora Thirlmere szybko przeskoczyliśmy przez niewysoką przełęcz Dunmail Raise docierając do miasteczka Grasmere. Tam zapadła decyzja o rozdzieleniu się. Pomimo niezbyt optymistycznej prognozy pogody na najbliższe 24 godziny, jaką otrzymaliśmy sms-em od mojej żony, Remigiusz uparł się, aby ruszyć w góry. Tym samym złamał naszą przedwyjazdową umowę o spędzeniu przynajmniej jednego noclegu w cywilizowanych warunkach. Ja zdecydowany byłem realizować wcześniejsze plany i zamierzałem skorzystać z brytyjskiej kwatery prywatnej, znanej jako Bed & Breakfast, czyli dosłownie „łóżko i śniadanie”. Dostępu do prądu domagały się również baterie telefonu komórkowego i aparatu fotograficznego.

Pożegnawszy Remigiusza ruszyłem w stronę Windermere, miasteczka wypoczynkowego na wschodnim skraju Lake District. Po dziesięciu minutach zaczęło padać, co niebawem zmusiło mnie do zamiany ubrań na przeciwdeszczowe i zabezpieczenia sakw nieprzemakalnymi workami. Po dwóch godzinach jazdy w nieustającym deszczu i sporym ruchu ulicznym dojechałem do centrum Windermere. Tu poszedłem na łatwiznę i wstąpiłem do punktu informacji turystycznej, gdzie uprzejmie i błyskawicznie znaleziono mi „przystępną



Znów zbyt stromo by jechać, Yorkshire Dales National Park w Anglii; fot.: R. Kitliński

pokoik niedaleko stąd”. Kosztowało mnie to 20 funtów, wliczając niewielką prowizję dla informacji turystycznej.

Pokoik okazał się przytulny i był wyposażony w zapomniane już przez mnie luksusy jak umywalka, kaloryfer, telewizor i czajnik elektryczny. Włączyłem ogrzewanie, rozwiesiłem mokre ubrania i wziąłem gorącą kąpiel, która sprawiła mi dużo więcej przyjemności, niż wcześniej oczekiwałem. Godzinę później siedząc w lokalnym barze nad potrawą rybną i piwem zastanawiałem się, jak powodzi się teraz Remigiuszowi. Za oknem wciąż szumiał miarowo deszcz. Wracając na kwatere, kupiłem puszkę Guinnessa i brytyjską prasę bulwarową, które to umiliły mi chwilę przed zaśnięciem w ciepłym łóżku.

Rano o 8:30 czekała mnie druga z atrakcji zawartych w haśle Bed & Breakfast, czyli breakfast. Śniadanie okazało się wyjątkowo obfite: grzanki, szynka, smażony boczek, gorące (!) pomidory, kielbaska i kawa z mlekiem. Aż głupio będzie o tym wszystkim powiedzieć Remigiuszowi, który zapewne znowu zagryzał suszone rodzynki dojadając chińską zupkę... O, przyszła wiadomość. Za godzinę spotkamy się przy informacji turystycznej.”

Yorkshire Dales National Park

Yorkshire Dales to malownicza kraina długich dolin i łagodnych, zniszczonych zębem czasu wzgórz w północno-środkowej Anglii. Znaczna jej część jest objęta parkiem narodowym. Cechą charakterystyczną regionu są wysoko położone zielone łąki i pastwiska, gdzie wśród skał i rzadko występujących drzew wypasa się owce i bydło. Pastwiska podzielone są niezliczoną ilością kamiennych murków, które na stałe wpisały się w tutejszy krajobraz. Ponadto, występują tu obficie zjawiska krasowe, odpowiadające za powstanie jaskiń, podziemnych korytarzy, wywierzyisk i wodospadów. Jedna z jaskiń stała się nawet przejściowo naszym lokum.



Kraina tysięcy kamiennych murków - Yorkshire Dales National Park w Anglii; fot.: R. Kitliński

Szukając schronienia przed silnym wiatrem, wiejącym tego dnia w dolinie Kingsdale, zatrzymaliśmy się przy sporym zagłębieniu rozcinającym zbocze doliny. Rzeźba terenu uczyniła to miejsce idealnym obozowiskiem. Byliśmy zarówno osłonięci od wiatru, jak również nie widoczni z wąziutkiej drogi przebiegającej przez dolinę. Najwięcej emocji wzbudziła jednak jaskinia, której



Najlepszy nocleg na wyprawie, u wylotu Yordas Cave w Yorkshire Dales National Park w Anglii; fot.: R. Kitliński

wylot znajdował się kilka metrów od naszego namiotu. Niewysoki otwór prowadził do przestronnej komnaty, przez którą z głośnym szumem przepływała podziemna rzeka. Krystalicznie czysta woda, na szerokości kilku metrów, wypełniała płaskie dno jaskini. Pomimo panujących

w jaskini kompletnych ciemności urządziliśmy sobie tam orzeźwiającą kąpiel - jedyną w swoim rodzaju, bo podziemną. Rankiem naszą jaskinię odwiedziła grupa grotolarzy. Ubrani w szczelne, gumowe skafandry, spuścili się na linach w głąb ponoru, którym rzeka wpływała pod ziemię. Następnie, podążając z biegiem rzeki, wyszli z podziemi tuż przy naszym obozowisku.

W południowej części dolin Yorkshire, niedaleko miejscowości Malham odwiedziliśmy dwie kolejne atrakcje, skalne urwisko Malham Cove oraz wąwóz Gordale Scar. Malham Cove jest pozostałością ogromnego wodospadu, istniejącego tu podczas topnienia wód lodowcowych, kilkanaście tysięcy lat temu. Gordale Scar to wąska, skalna szczelina, przechodząca następnie w dolinę, wyłobioną przez wody topniejącego lodowca. Obydwa miejsca były warte uwagi, choć skupiały wokół dość liczne grono turystów.

Park Narodowy Yorkshire Dales jest doskonałym terenem do rowerowych i pieszych wędrówek. Podobnie jak w Lake District, rowerzysta często musi zmagać się ze stromymi podjazdami. Gęsta siatka wąskich na jeden samochód, asfaltowych dróg jest uzupełniona efektownymi szutrowymi i polnymi skrótami. Pozwala to ciekawie zaprojektować wycieczkę i poznać „od kuchni” angielski countryside.

Uroki szkockiej północy są powszechnie znane. Nam dane było zasmakować krajobrazów południa tego kraju i się nie zawiedliśmy. Ale najbardziej zaskoczyła nas Anglia. Nie spodziewaliśmy się, że ten z pozoru nudny kraj, może dostarczyć tylu wrażeń i przygód. Strome podjazdy w Lake District i bezkresne, naturalne przestrzenie Yorkshire Dales to obraz daleko wykraczający ponad stereotypowe wyobrażenie Anglii. Dzięki coraz szerszej i przystępnej cenowo ofercie tanich linii lotniczych, zwiedzanie rowerem różnych zakątków naszego kontynentu nie sprawia dziś problemów. Aby przejechać bez zbytniego pośpiechu podobną trasę, wystarczy zaledwie 10 dni. Tajemnicza Anglia czeka na każdego z Was.

tekst: Grzegorz Krajewski i Remigiusz Kitliński

